

Pieśń o życiu w przyrodzie

Pieśń o życiu w przyrodzie (Wakacje w puszczy)

Mieszkam w zieleni drzew.

Domem moim jest altana piętrowa z gałęzi. Lipowy kwiat wyściela moje gniazdo. ❌

Kiedy wstaję, otrząsam z włosów krople rosy i ziewam jak ryś. Rozpiera mnie radość. Niebo drży.

Niebo drży, niby łono rodzącej istoty. Nic dziwnego, bo rodzi się dzień.

Chcę wydać okrzyk, swój zew, na znak, że już nie śpię; ogłosić, iż żyję, że jestem, że odczuwam. Śpiewam: "Kiedy ranne wstają zorze"...

Rzucam swoje hasło! Zna je puszcza.

Już słońce płonie w drzewach.

Złociste wilgi gwizdzą.

Turkawka zabawnie turkocze, przekomarzając się z bojowymi turkuciami.

Grzywacze marzą o polnym grochu, co głód nasycy, ale jeszcze nie dojrzał.

Rosa lśni na trawach.

Jak pawian czy jak Tarzan, spływam po konarach na ziemię...

Po co drabina? - pytam swoją młodość.

Leśne jezioro to rozkosz; ma obok swoje źródło. Lud nazywa je "krynicą"

Pływam, nurkuję, parskam - już jestem umyty. Słońce zaczyna grzać.


Promienie ciekną po mojej skórze wraz z wodą. Rozwieszają w cieniu blaski na kwitnącym krzewie i na olbrzymim lesie pokrzyw obok nory borsuka. Bażant wrzasnął.

Mój krzyk budzi, co jeszcze śpi!

Dwie ciecioriki pomykają chyłkiem w gąszcz. Klaszcze cietrzew.

Kwiecistość polany jest błogostawieństwem dla oczu. Ona rozsypuje kwiaty w moim sercu. Uśmiecham się do cudów życia.

Kipi we mnie nomadzka krew rysia - wagabundy; dreszcz pierwobytu wstrząsa jestestwem - jak wulkan wzgórzem.

Gdzie moja kultura gimnazjalna i uniwersytecka? - odzywa się cywilizacyjny odruch. - Atawizm.
Potęga pradawnej przeszłości tak silnie budują wizje! - dziwię się...

Lśniący szpak syczy na gałęzi:

- Tsss... tsss...

Niesie w dziobie żywność dla małych. Strzepnął skrzydłami, dopadł dziupli w lipie; zagotowało się wewnątrz, jak jeden wielki krzyk: - "My chcemy lecieć w dal! Chcemy rozwoju!".

Ludzki rozum zgaśł.

Instynkt przenika otoczenie; czuję, że jest oparty tylko na doświadczeniu i długim nawyku.

Grzywacze klaszczą skrzydłami. Motyle pofrunęły jeden za drugim.

Jak stary, zmęczony włóczęgą po dżungli słoń-samotnik, wlecze się z dudnieniem stóp o dzwonną ziemię, człowiek leśny, Jacenty, przybywa na mój krzyk.

Jak wielbiący życie drzew wiatr, szemrze:

- Pochwalon Bóg...

Oczy jego ogarniają wszystko, co jest dookoła, spojrzeniem starego wilka, który zna i kocha po swojemu odwieczne uroczysko. Zawiera się w nim miłość zielonego świata.

Fałdy policzków Jacentego wachlują się na krawędziach szczęk, niby uszy słonia. Usta rozszerzają się w uśmiechu.

Położył na pniu pół pieczonej kaczki i kawał wiejskiego chleba.

- Jagód w lesie jest - mruczy, doradzając naturalny deser.

Poszugał czarnymi, sękatymi nogami z powrotem. Barki miał obwiśnięte, włosy gęste, siwe, spływające w dół na uszy, chód powolny, podobny do chodu bardzo starych zwierząt.

Dosłownie zżeram z trzaskiem kości jadło. Zakąsuję czarną krwią jagód, zapijam wodą ze źródła nad jeziorkiem.

Krzyczę jak zwierzę, które jest syte. Napęlnia mnie moc niedźwiedzia, z nadmiaru sił drącego pazurami piarg skalny. Chcę gonitwy, walki, pragnę wyładowania tej siły! Ona drży w moich mięśniach, kłębi się we włosach, warczy w ustach, lśni w zębach, skrzy się w oczach, tęskni i kocha w mojej owłosionej, ciemnej jak u Mulata piersi.

Chcę ryc ziemię paznokciami, skakać z gałęzi na gałąź, tarzając się po szczotkach wrzosów, nurkować aż do utraty tchu w leśnym czarnym stawie, zwanym przez lud sucharem.

- O, siło bytowania... Radości istnienia!

Czuję, że trysnąłbym piosenką ptaszęcą, buchnął z mojej gardzieli rykiem lwa, jelenia zewem, warkotem skał, toczących się w przepaść, grzmotem burzy - całym chórem życia!

Słońce wznosi się ponad drzewa.

Słońce - to potężna dusza świata! Ono podsyca we mnie siły żywotne.

...Oto jestem jedną z form życia wśród miliardów roślin, owadów, zwierząt, jedną z istot będących na ziemi. Myśli mojej nie ma - czuję to sercem, które tak samo bije i w piersi burego wilka, i złotej wilgi.

Malutki ptaszek pofrunął nad przesmykiem. Podskoczyłem cicho naprzód, podkradłem się bliźutko.

Miękka dłoń spadła nań szybko, zamknęła piśszczotą palców. Jest!

Siedzi na dłoni: wbił ślepki w moje oczy; żółtodziób, szczeniak, smarkacz.

Ma dużo łuski w pierzu, jest strasznie młody. A już gorący od życia jak ogień!

Wilga śpiewa - skryta gdzieś w rozkoszy lipowego kwiecia.

Puszczam malca na wolność; chwilę siedzi na gałązce leszczyny, potem zlatuje w las gąszczów: znika dla moich oczu. Któreś z rodziców spada mu na pomoc.

Do pięknej wilgi podleciała druga - drżą na jednej lipowej gałęzi.

Serce zatętniło pulsem krwi w uszach; przypomina mi, że jest w dalekim mieście istota - samica, za którą bardzo tęsknię.

- Fiu... fiu - gwizdże wilga.

- Grchu... grrchuuu - wabi grzywacz.

- Kach! - wrzasnął bażant.

- Tir-lik, tir-lik - odzywa się zza lasu kuropatwa.

Żaby rechocą od łąk i sadzawki.

Słońce igra barwami w różnych odcieniach.

Wietrzyk szemrze.

Kwiaty pachną.

Po niebie leci obłok.

Muszki brzęczą.

Serce moje bije zdrowym rytmem.

Jak dobrze jest żyć!

Tytus Karpowicz
Ojcówka 9 IX 2002 r.